

JANUSZ TAZBIR

## Źle się dzieje w państwie... polskim

Narzekanie należy do narodowych przywar nie tylko Polaków. Jedyna różnica polega chyba na tym, że każda nacja skarży się na coś innego. Bywają piętnowane różne przywary, wśród których załamywanie rąk nad stanem i dystrybucją publikacji naukowych, zwłaszcza humanistycznych, nie zajmuje czołowego miejsca. Ich obecny poziom nie jest jakąś narodową bolączką, która spędzałyby sen z powiek paru tysięcy Sarmatów. Nawet wśród wydawców i autorów coraz więcej miejsca zajmuje przekonanie, że książka stanowi dość archaiczny sposób przekazywania myśli, który jeszcze przed końcem naszego stulecia zostanie całkowicie wyparty przez internet. I to tak dalece, że niebawem, kiedy nazwa ta znajdzie się w jakimś tekście, sumienny edytor skłoni jego autora do umieszczenia na dole noty wyjaśniającej: „książka – tak nazywano w XVI-XX stuleciu zadrukowane strony, które łączyła w jednym tomie (zob.) ręka intrologatora”.

Historycy nie traktują tych gróźb zbyt poważnie pamiętając, że już wynalazek Gutenberga miał uśmiercić wszelkie formy rękopisu. Tymczasem jeszcze w dobie Sejmu Czteroletniego konkurował on – i to zwycięsko – z drukiem. Ileż broszur politycznych przepisywano ręcznie, niekiedy w setkach egzemplarzy, bo tak wypadało taniej i szybciej. W dobie zaborów dzieła zakazywane przez rosyjską, niemiecką czy austriacką cenzurę, z utworami wieszczów na czele, krążyły w postaci manuskryptów. W ubiegłym stuleciu tym właśnie sposobem upowszechniano niektóre publikacje tak zwanego „drugiego obiegu”. A telewizja nie uśmierciła kina, choć znacznie ograniczyła krąg jego odbiorców.

Tak modne dziś i powszechnie zalecane odchudzanie nie objęło wcale książek. Wręcz przeciwnie: podobnie jak tradycyjna zabudowa miejska jest coraz częściej i nie zawsze z sensem przetykana „wysokościowcami” tak i w literaturze

humanistycznej mnoży się ilość typograficznych drapaczy chmur. Nie jeden historyk, badacz dziejów literatury czy sztuki, socjolog etc. zaczyna upatrywać w grubości dzieła najpewniejszą drogę do prestiżu i nagrody, którymi tak hojnie szafują coraz to liczniejsze jury konkursowe. Z informacyjnych notek wydawniczych dawno już znikły dane o wysokości nakładu, co rozwiązało ręce wydawcom, którzy mogą bez płacenia autorowi dodrukowywać nowe egzemplarze. Jakąż dumą napełnia ich fakt, że niektórzy równie ambitni, co zamożni autorzy zgłaszają się do nich z gotowością rezygnacji z honorarium, coraz częściej skłonni są nawet płacić danej oficynie w zamian za firmę wydawniczą i uniknięcie ośmieszającej informacji: „nakładem własnym”.

„Wszystko już było” – rzekł Ben Akiba. Przed rokiem 1939 podobnie postępował m.in. „Rój” pod rządami Wańkowicza i Kistera, który zwykł mawiać, iż w tej lukratywnej spółce autorskiej to pan Melchior jest Żydem. U schyłku stalinizmu w osławionym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych, działającym przy KC PZPR, nie przyjmowano prac kandydackich (tak wówczas nazywano rozprawy doktorskie) cieńszych niż 500 stron maszynopisu. Na szczęście zawsze pod ręką byli klasycy marksizmu, którymi można było inkrustować dowolny tekst. Kiedy nieopatrznie opublikowałem w jednym z NRD-owskich czasopism artykuł na temat polskich ech Wielkiej Wojny Chłopskiej nie przysłano mi korekty. Otrzymałem dopiero drukowany egzemplarz, w którym czujni redaktorzy początek i zakończenie uzupełnili obszernymi cytatami z Engelsa, choć ten się źródłowo niemieckimi wydarzeniami z r. 1525 nigdy nie zajmował. Dzisiaj ich miejsce zajmują dość często cytaty z Wielkiego Rodaka, czyli Jana Pawła II. Klasycy byli dobrzy na każdą okazję. W dawno minionych latach zacytowałem rzekome zdanie Karola Marksa: „Nuda to kontrewolucja, bo robotnicy, zniechęceni nieciekawym referatem, wychodzą z sali, aby udać się do knajpy lub... kościoła”. Zapytany przez gorliwego wyznawcę tego proroka o miejsce druku powyższego aforyzmu powołałem się na jedno z wydań niemieckich, którego tytułu nie zanotowałem. Ów ciekawski szuka do dziś dnia...

Mój złośliwy kolega utrzymuje, że *elephantiasis* niektórych prac humanistycznych jest wynikiem lenistwa ich autorów, którym nie chciało się ponownie czytać tak grubej całości. Nudne to i uciążliwe. Sam mógłbym od ręki wskazać książki, w których, zwłaszcza w przypisach, powtarzają się te same informacje. Obok lenistwa poważną rolę odgrywa też chuda kiesa wydawców: większość z nich pokasowała etaty redaktorek czy redaktorów, nie mówiąc już o recenzentach wewnętrznych. Próbowali ich zastępować czujni czytelnicy z niezującym już, niestety, prof. Henrykiem Markiewiczem i dr. Adamem Wiercińskim na czele, prowadzący stałe działy sprostowań w takich miesięcznikach jak „Dekada Literacka” czy „Indeks” (organ Uniwersytetu w Opolu).

Sprostowania pomyłek zamieszczają także recenzje prac doktoranckich i habilitacyjnych. Można je wszakże nazwać śmiało „musztardami po obiedzie”, ponieważ, aby uzyskać stopień czy tytuł naukowy, należy przedstawić drukowaną dysertację. Zasiadając przez wiele lat w Centralnej Komisji do spraw tytułów i stopni naukowych daremnie domagałem się, aby podstawą oceny był maszynopis. Stefan Kisielewski porównał był kiedyś literaturę doby PRL-u do psa, który trzymany latami w małej szafie wyrósł był na jamnika. Po latach wszyscy do niego mają pretensję, choć zawiniła szafa, której od dawna już nie ma. Niedawno przeczytałem w pewnej pracy, że *Krewni* (1857 r.) Józefa Korzeniowskiego postulują zbliżenie polsko-żydowskie, choć tytuł dotyczy braci, którzy byli zdani na łaskę krewnych. A Żyd występuje tam marginalnie i to jako postać niesympatyczna. Kiedy po latach tę całkowicie błędną informację przeczyta jakiś dociekliwy polonista, będzie miał oczywiście pretensję do autora, a nie do Centralnej Komisji, która uniemożliwiła mu uwzględnienie sprostowania zawartego w recenzji.

Wymogi awansowe powodują oddawanie do druku jeszcze niedojrzałych prac. Niektórzy z ich autorów mają zresztą i to szczęście, że trafiają na spieszących się recenzentów. Czym innym można bowiem wytłumaczyć fakt, że w żadnej recenzji ze zbioru studiów *Mity i stereotypy w dziejach Polski* (1991 r.) nie zwrócono uwagi na fakt, iż zaopatrzone go wprawdzie w indeks osób, ale zapomniano dodać strony, na których one występują? Można ostatecznie przymknąć oko na indeksy nieuwzględniające nazwisk, które występują w przypisach, ale co począć z autorami, którzy najspokojniej w świecie informują czytelnika, iż uwzględnili w nich tylko ważniejsze osoby? Dla kogo ważniejsze i jaką wartość ma taki indeks? Zły to ptak, co własne gniazdo kala, ale coraz częściej z niektórych prac, nawet tych pisanych przez samodzielnych pracowników nauki wynika, że nie odróżniają oni materiałów źródłowych od opracowań, skoro w dołączonej bibliografii pomiędzy te ostatnie wciskają edycje źródeł opatrzone nienadmiernie dużym wstępem.

Skoro już o recenzjach mowa, to stale przypomina mi się broszura Józefa Pawlikowskiego *Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?* (1800 r.). Dziś należałoby napisać inną pod zbliżonym tytułem: *Czy autorzy mogą się wybić na recenzyjność?* Najwięcej ich pojawia się z książek złych, w których to recenzjach, nieraz zajmujących pół czy nawet cały arkusz, wytyka się autorowi wszystkie błędy podczas gdy wiele niezłych prac przechodzi bez echa. Z jakąż zazdrością wertujemy dziś przedwojenny odpowiednik dzisiejszych „Nowych Książek” (miesięcznik „Książka”), w których mistrzowskie pióra Aleksandra Brücknera, Ignacego Chrzanowskiego czy Stanisława Kota zaledwie na jednej stronie rzeczowo i krytycznie oceniały dane dzieło. Na recenzje mogą natomiast liczyć zagraniczni autorzy, jeśli ich dzieła dotyczące spraw polskich doczekają się przekładu. „Kompleks Timbuktu”, a więc radość, że ktoś się nami w szerokim świecie wreszcie zainteresował, toruje im

drogę do polskiego czytelnika. Choć jestem pewien, że gdyby nad Wisłą wydano na przykład pełną błędów historię Anglii, pies z kulawą nogą by się nią nie zainteresował, a tym bardziej nie przełożył.

Jeśli tracimy orientację w bieżącej produkcji naukowej, to winowajcą jest również zaprzestanie edycji niektórych pierwszoplanowych bibliografii. Od roku 1989 przestała się ukazywać, wydawana jako rocznik, polska bibliografia literacka, od roku 1984 nie wychodzi „Rocznik Literacki”. *Notabene* tom za rok 1984 ukazał się w r. 1991! Obronną ręką wyszli z tego kapłani Klio, skoro co roku wydają systematycznie bibliografię bieżącą historii Polski (ostatnio ukazał się tom za rok 2010). Z ubolewaniem należy odnotować faktyczny koniec serii wydawnictwa Ossolineum „Biblioteka Narodowa”, ukazującej się nieprzerwanie od 1919 roku. Nieprzerwanie, bo nawet w latach II wojny światowej jej tomiki wychodziły w Jerozolimie, dzięki agendum oświatowym II Korpusu Andersa. Co gorsza, na pożegnanie zafundowano nam tomiki wydawane w formie reprintu pod szumnym tytułem „Skarby Biblioteki Narodowej”. Niestety – w tej samej oprawie edytorskiej, w jakiej ukazywały się przed laty. Nie uwzględniono postępu badań, a tym bardziej recenzji, prostującej jakże nieraz liczne błędy w przypisach. Jeśli na przykład w komentarzu do pamiętników Vorbeka-Lettowa zwrot „w karczmie pana Kryspina” zaopatrzone w przypis „Kryspin, karczmarz” jest to całkowite wprowadzenie w błąd dzisiejszego czytelnika. Hieronim Kryspin był bowiem magnatem litewskim, w którego dobrach owa karczma leżała. Takie sprzedawanie nadgniłych owoców na równi z dobrymi jabłkami przypomina jako żywo słynnego z *Mistrza i Małgorzaty* jesiotra „drugiej świeżości”.

Skłopotanemu humaniście można wprawdzie cynicznie doradzić, aby chodził systematycznie po księgarniach i w nich przeglądał nowości. Jest to nie tylko uciążliwe czasowo, ale i nieskuteczne, skoro sieć dystrybucji książek naukowych uległa faktycznie zanikowi. Kiedy bywam w Krakowie, Poznaniu czy Wrocławiu, to w tamtejszych księgarniach naukowych znajduję pozycje, o których ukazaniu się w ogóle nie miałem pojęcia. Muszę pisać do wydawnictwa, które nalicza sobie koszty przesyłki. Bieżące wydania są zresztą na ogół drogie, a kalkulacje dość dziwne: kto mi wytłumaczy dlaczego zeszyt „Kwartalnika Historycznego” kosztuje tylko 22 zł, a tom czasopisma „Barok” – aż 60?

Wszyscy kinomani dobrze wiedzą, że wystarczy uzbroić się w cierpliwość, aby film wyświetlany najpierw w drogim, wielkoekranowym kinie za słono kosztujący bilet, obejrzeć później za cenę znacznie tańszą, a nawet zobaczyć za darmo w telewizji. To samo bywa i z niektórymi książkami. Co gorsza, *Mój Paryż* Franciszka Ziejki nabyłem na stoisku Biblioteki UW za 10 złotych, gdy w tym samym czasie w innych księgarniach kosztował trzydzieści kilka złotych. Ale przecież nie sposób czekać na potaniecie książki, skoro jest ona potrzebna już teraz.

Nie wydaje mi się wszakże, aby mozolny trud prof. Henryka Markiewicza i dr. Adama Wiercińskiego, do których to errat dorzuciłem przed laty moją broszurkę *Edytorskie potknięcia* (1997 r.), wpłynął otrzeźwiająco na niesolidnych autorów. W swej odpowiedzi przytoczą mi zapewne zabawny aforyzm La Rochefoucauld'a: „Starczy lubią dawać dobre rady, aby się pocieszyć, że nie są już zdolni dawać złych przykładów”. Nie mogą też poświęcać swego całego czasu na poprawianie cudzych pomyłek, skoro nie tylko książki, ale mass media (zwłaszcza telewizja) codziennie prezentują nam nowe własne błędy. Nie chciałbym wszakże, aby do niedorzeczności, w obronie których wystąpił ongiś G.K. Chesterton (*Obrona niedorzeczności, pokory, romansu barokowego i innych rzeczy wzgardzonych*, 1927 r.), przyszłe pokolenia dorzuciły troskę o należyty poziom prac naukowych.

Mam natomiast nadzieję, iż zdobędziemy się wreszcie na likwidację archaicznej już formy czczenia wybitnych przedstawicieli elity naukowej, jaką od wielu już pokoleń są książki pamiątkowe w ich obecnym kształcie. Mniejsza już o to, że prośby o udział w nich wpływają dość często na krótko przed terminem, ukazanie się książki zależy natomiast od znalezienia odpowiednio hojnych sponsorów. Co gorsza, organizatorzy zwykle uprzedzają, iż dany esej nie może przekraczać objętości 8, 10, najwyżej 12-15 stron. Nie każdy badacz posiada zaś w swym naukowym skarbcu niedrukowaną poprzednio pracę, która spełniałaby takie właśnie wymagania. Daje więc jakiś drobiazg, który akurat od lat zalega jego szuflady. W rezultacie otrzymujemy współczesne *silvae rerum*, topione w nich prace tylko z grubsza odpowiadają zainteresowaniom badawczym jubilata. Jakże trudno się potem domyśleć, dlaczego ten czy inny drobiazg trafił właśnie do tej książki.

Czemuż więc nie idziemy w ślady naszych zachodnich sąsiadów? W Niemczech od dawna już na książkę pamiątkową składają się jedynie trzy podstawowe elementy: artykuł wyjaśniający na czym polega wartość jego dorobku, skrócona bibliografia, uwzględniająca tylko najważniejsze prace i wreszcie ich przedruk. Jest rzeczą oczywistą, że nie może on uwzględniać pozycji książkowych czy nawet broszur, lecz jedynie artykuły, rozproszone po różnych czasopiśmiech – i polskich, i obcych. Wśród nich takie, o których sam autor dawno przestał pamiętać, a godne są przypomnienia.

## JANUSZ TAZBIR

## SOMETHING IS ROTTEN IN THE STATE OF... POLAND

In his article, the author considers complaining as the typical feature of Polish cultural life. He compares the recent situation in Polish culture (i.e. complains about displacement of the classic, paper books by the e-books, Internet and other “new media”) with historical data, concerning i.e. the fear of the displacement of the manuscript by spreading all around invention of printing. According to the author, this fears were false because the manuscript played important role in Polish “underground” of the cultural and political life even in the twentieth century. Then he refers to the current scientific publications, stating that (despite all recent fears) monographs, dissertations and other humane papers are progressively more and more vast. Unfortunately this vast size does not mix with the accurateness of the data which they contain and with the editorial strictness of these publications. For instance, formal requirements of the publication of the thesis before achieving scientific degree precludes candidates from incorporating critical remarks of the fellow scientists in the final publication. This yields a large number of editorial mistakes and inconsistencies in humane publications. The author prefers coherent, substantive publications, which are free from any factual or editorial mistakes – and that’s his advice for Polish humanists.